

Przeciwko Armii Z(a)bawienia

29 stycznia 2010

Nie chodzi o to, żeby w nieskończoność karmić biednych. Chodzi o to, żeby biednych nie było.

Jest taki wyświechtany argument, którym różni mądrale wałą niczym cepem w środowiska krytykujące realia liberalizmu gospodarczego. Przekonują oni, iż jeśli negatywnie oceniasz nierówności społeczne i to, że część ludzi trafia na margines, to powinienes zakasać rękawy i rozdawać im zupę lub ziemniaki, najlepiej w upadłym PGR-ze, „złej dzielnicy” albo pipidówce, gdzie diabeł mówi dobranoc.

A jeśli owej zupy nie rozdajesz, to jesteś niewiarygodny – jesteś salonowym paniczem, który werbalną troską o biednych podbudowuje swoje ego, kreuje się tanim kosztem na osobę szlachetną lub po prostu wykorzystuje czyjeś złe położenie do polepszenia położenia własnego.

Warto się zająć tego rodzaju opowiastkami. Dobrą okazją ku temu jest tekst, który Rafał Ziemkiewicz poświęcił niedawno „Krytyce Politycznej”. Okazja jest dobra dlatego, że ów tekst stanowi modelowy wręcz przykład takiego moralizatorstwa, a jednocześnie obiektem krytyki stało się w nim środowisko, dla którego nie mam za grosz sympatii.

Ziemkiewicz ma oczywiście rację – choć doprawdy długo dochodził do tak oczywistych wniosków – że KP to grupka karierowiczów, wylansowana przez establishment i z nim tożsama (ja bym dodał: klasowo), nieszkodliwa w żadnej mierze dla oligarchii biznesowo-polityczno-medialnej i dlatego tak chętnie przez nią promowana.

Gdzie jak gdzie, ale w Polsce, czyli kraju, w którym „lewica laicka” w kluczowym momencie wypięła się na „lud” i gładko przeszła od Komitetu Obrony Robotników do Komitetu Poparcia Balcerowicza, tego rodzaju towarzystwo należy traktować

skrajnie podejrzliwie. Zwłaszcza gdy za swojego mistrza uznaje ono Kuronia – czyli swoisty metr z Sèvres w kwestii tego, jak zdradzić prospołeczne ideały – i bierze honoraria m.in. z Agora S.A.

Nie trzeba też szczególnej przenikliwości, żeby lewicowość czy choćby prospołeczność KP traktować co najmniej z dystansem. Ogólnikowe i rzadkie działania, analizy i stanowiska w sprawach socjalno-ekonomicznych giną w przypadku tego środowiska w morzu wywodów o feminizmie, sztuce nowoczesnej, legalizacji narkotyków, seksualności itp. Zresztą nawet i te kwestie kulturowe traktowane są z pozycji bliższych liberalnemu standardowi niż refleksji stricte lewicowej, o czym wie każdy, kto zetknął się z fachowymi feministycznymi analizami sytuacji zawodowej kobiet czy z opisami problemu nieopłacanej pracy w gospodarstwach domowych.

Również metody tego środowiska, oparte na próbach „zmiany dyskursu” (za pomocą udziału w tzw. debacie publicznej, czyli podlizywania się wielkim mediom) i „marszu przez instytucje”, nie mają wiele wspólnego – nawet gdyby były na krótką metę skuteczne – z ideałami lewicowymi. Bardzo przypominają natomiast, jak kiedyś trafnie zauważył Andrzej Smosarski, poczynania Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego i konserwatywną wizję, w ramach której oświecone elity odgórnie „zmieniają świat na plus”, a lud może sobie co najwyżej posłuchać gadających głów.

Nie zmienia to faktu, że krytyka autorstwa Ziemkiewicza jest niewiele warta. Mniejsza już o kwestie oczywiste, czyli groteskowość sytuacji, w której osoba o poglądach skrajnie liberalnych gospodarczo zarzuca Sierakowskiemu i spółce, że za słabo krytykują Balcerowicza. Kluczowe w tekście Ziemkiewicza są zarzuty zupełnie innego rodzaju – i są to zarzuty, które pod adresem KP formułują nierzadko, choć w nie tak skrajnej formie, również niektóre środowiska lewicowe czy prospołeczne. Ziemkiewicz pisze: Nowa lewica, choć bierze sobie za patrona Jacka Kuronia, jakoś nie próbuje robić tego, na czym Kuroń

strawił życie – zbierać sygnały o krzywdach wyrządzanych prostym ludziom przez lokalnych kacyków, amoralny w swej chciwości biznes czy innych wielmożów, zwykle zawdzięczających siłę i bezkarność zblatowaniu z władzą, i interweniować, a choćby wspierać pokrzywdzonych moralnie. /.../ Ludzie, z których żaden nie umiałby odróżnić młotka od hebla, wyżywają się w wielogodzinnych dyskusjach o problemach klasy robotniczej /.../.

Oczywiście jest w tym opisie sporo racji w odniesieniu do konkretnego środowiska. Aczkolwiek jest też fałsz, bo KP można zarzucić wiele, ale nie to, że kiedykolwiek pozowała na lewicę „proletariacką” – stąd też wywody o „młotku i heblu” są chybione. Ale w całej sprawie jest coś ważniejszego. Otóż „ulubioną lewicą prawicy” byłaby taka, która „strawiłaby życie” na „zbieraniu sygnałów o krzywdach”, „interweniowaniu” czy udzielaniu „wsparcia moralnego”. Myślę, że szczególnie to ostatnie ucieszyłoby liberalną prawicę – wszak od moralnego wspierania nie zmienia się absolutnie nic w wymiarze ponadjednostkowym. Lewica miałaby w tym scenariuszu pełnić rolę stanowiącą syntezę postaw księdza-spowiednika, filantropa i psychologa. Wysłuchać, pocieszyć, czasem nakarmić lub kupić dziecku wyprawkę do szkoły, w najlepszym razie napisać skargę do urzędnika gminnego. W ten sposób byłaby ponoć nie tylko skuteczna, ale także moralnie „czysta”, no i po wizytach w kilku PGR-ach czy robotniczych dzielnicach potrafiłaby już odróżnić młotek od hebla. A młotkiem, jak wiemy, skutecznie rozwiązuje się problemy socjalne.

Jest w tych „dobrych radach” Ziemkiewicza oczywisty fałsz dotyczący nie tylko tego, jak działać. Gdyby ich autor i podobni krytykanci „kawiorowej lewicowości” rzeczywiście cenili lewicę zajmującą się konkretnymi inicjatywami, to zamiast promować Sierakowskiego i spółkę oraz zaliczać kolejne „debaty” z nimi, doceniliby środowiska zajmujące się właśnie czymś takim. A byłoby o czym pisać nawet w kraju tak mizernej aktywności społecznej, jak Polska. W 5 minut można w erze Internetu znaleźć informacje i zamiary na Lewicową Alternatywę

i jej sprawne działania w obronie lokatorów reprivatyzowanych kamienic. Albo związek zawodowy Inicjatywa Pracownicza, którego członkowie notorycznie tracą zatrudnienie za nieustępliwą walkę o prawa pracowników najemnych. Albo Kancelarię Sprawiedliwości Społecznej, która skutecznie blokuje eksmisje biedaków na bruk.

Starczyłoby tego na sporo reportaży, felietonów, wywiadów i tekstów interwencyjnych. A jednak ci sami prawicowo-liberalni publicyści, którzy KP zarzucają „oderwanie od rzeczywistości”, nie tylko przemilczają, ale nierzadko wściekle atakują lewicę „prawdziwą”, traktując ją jako „demagogów”, „populistów”, „zadymiarzy” itd. Ile razy „Rzeczpospolita” użyczyła swoich łamów Sierakowskiemu czy Gduli, żeby mogli „zmieniać dyskurs”, czyli głądzić o niczym, a ile razy na jej łamach pojawili się Agata Nosał, Jarosław Urbański czy Piotr Ciszewski, żeby fachowo i konkretnie zaprezentować problemy pracowników, lokatorów, bezdomnych, bezrobotnych itd.?

Nie to jest jednak sednem sprawy. Otóż lewica powinna „być z ludem”, powinna organizować społeczeństwo do obrony swoich praw, powinna wspierać tych, którzy walczą z niesprawiedliwością i wyzyskiem. Ale powinna też pamiętać, że choć pomoc Iksińskiemu jest szlachetna i ważna, to Iksińskich jest zbyt dużo, aby można było im wszystkim pomóc samymi działaniami oddolnymi i interwencyjnymi. Zresztą lewica – ale nie tylko ona, również zachodnia chadecja czy „prawica socjalna” – to zazwyczaj doskonale wie, natomiast niekoniecznie wiedzą czytelnicy wywodów Ziemkiewicza. Im właśnie trzeba tłumaczyć, że skuteczna polityka prospołeczna nie polega na naśladowaniu Caritasu i Owsiaka. Wręcz przeciwnie – polega na tym, że w skali państwa podjęte zostaną decyzje i wdrożone mechanizmy, które sprawią, iż Caritas będzie potrzebny nie do zbiórki środków na dożywianie ubogich, lecz co najwyżej do zafundowania im jakiejś atrakcji, zaś od działań Owsiaka nie będą zależały szanse na przeżycie w szpitalu, lecz dostawy słodczy czy maskotek dla chorych

maluchów.

Oczywiście liberalna prawica chętnie widziałaby lewicę w roli frajerów, którzy swoim wysiłkiem łatają dziury powstałe wskutek demontażu funkcji państwa – i nie robią nic więcej, bo nie starcza im czasu i sił. W ten kanał dały się już wpuścić organizacje pozarządowe. Państwo nie prowadzi polityki mieszkaniowej, za to fundacje prowadzą schroniska dla bezdomnych. Państwo nie egzekwuje zapisów Kodeksu pracy – kary za jego łamanie są żenująco niskie – za to rzuca ochłapy na różnego rodzaju „doradztwa” i „telefony zaufania”. Państwo tnie wydatki na oświatę na prowincji, ale łaskawie przyznaje dotacje stowarzyszeniom prowadzącym tamże szkoły uratowane przed likwidacją. Państwo oferuje skrajnie niskie i uznaniowe zasiłki rodzinne, za to w swej dobroci użyczy czasu antenowego w publicznej telewizji, żeby przeprowadzić esemesową zbiórkę na zakup podręczników dla ubogich dzieci.

Część lewicy daje się różnym „Wujkom Dobra Rada” wkręcić w schemat „albo – albo”. Wedle tej wizji, „prawdziwym lewicowcem” jest tylko ktoś, kto nie dosypia, nie dojada, nie myśli i nie posiada życia prywatnego, natomiast nieustannie „działa” i „walczy”. Bez wątpienia personalne zaangażowanie jest ważne w wymiarze społecznym, stanowi też swego rodzaju sprawdzian moralny. Jednak nadużywanie takich argumentów jest – jak każda przesada – niemądre. Po pierwsze, należy nie tylko działać, ale i myśleć. Wyśmiewane „kawiarniane rozmowy”, gdy zachowa się w nich umiar, nie tylko nie szkodzą, lecz pomagają. Bez nich działa się na oślep, co skutkuje brakiem efektów, a to z kolei – frustracją i wypaleniem. Po drugie, nie każdy nadaje się do roli działacza i nie samo działanie tworzy rzeczywistość. Śmieszne byłyby zarzuty pod adresem np. Edwarda Abramowskiego, że raczej „gadał” i pisał niż poniewierał się po fabrykach i dzielnicach robotniczych, skoro jego teksty propagujące socjalizm czy spółdzielczość dały efekty znacznie większe niż niejedno „praktyczne zaangażowanie”. Po trzecie, jakkolwiek dla lewicy praxis

zawsze było sednem sprawy, należy się mocno zastanowić, o jakiego rodzaju aktywność chodzi. Czy bardziej ulepszmy rzeczywistość – zwłaszcza dysponując niewielkimi siłami i środkami – działając jak straż pożarna, czy może próbując stworzyć zręby powszechnych ubezpieczeń od zaproszenia ognia?

Po czwarte i najważniejsze, trwałe przemiany społeczne zachodzą wtedy, gdy dokonują się jednocześnie na wielu frontach. Potrzeba nam oddolnych działaczy, ale również popularyzatorów, artystów i myślicieli. Potrzeba nam lokalnych stowarzyszeń, instytucji samopomocowych, związków zawodowych, lecz także porządnych czasopism i seminariów naukowych. Musimy umieć zorganizować pracowników w związek zawodowy i obronić lokatorów przed eksmisją, ale także napisać dobrą książkę o przemianach tzw. rynku pracy i jeszcze lepszą ustawę o ochronie lokatorów.

Krytykować powinniśmy nie „brak działania” czy „gadanię”, lecz taki rodzaj teorii i krytyki, które ślizgają się po powierzchni problemu, nie łączą z dystansem wobec krytykowanych zjawisk i środowisk lub kierują nasze zainteresowanie na kwestie marginalne. „Krytyka Polityczna” nie dlatego jest lewicą wątpliwą, że debatuje, wydaje książki i prowadzi knajpę zamiast „interweniować” i „wspierać moralnie”. Jest takową, bo kultowi Kuronia, honorarium z Agora S.A., indywidualnym karierom i fiksacji na punkcie „mniejszości” towarzyszy w jej działaniach rzadka, ogólnikowa i strachliwa krytyka współczesnego kapitalizmu i generowanych przezeń problemów. O projektach zmian nie wspominając, bo środowisko, które podobno jest „nadzieją lewicy” i „trustem mózgów”, nie proponowało nawet takich analiz systemowych, jakie można znaleźć w dorobku wielu znacznie mniejszych, uboższych i słabszych intelektualnie grup szeroko pojętej polskiej lewicy.

Potrzebujemy zmian całościowych – sprawnego systemu polityki społecznej, porządnej ustawowej ochrony pracowników, prospołecznego systemu podatkowego, interwencjonizmu

gospodarczego, egalitarnych instytucji i szeroko zakrojonego programu wyrównywania szans. Nie potrzeba nam ani naśladowania Armii Zbawienia, ani modnej i niezobowiązującej zabawy w salonową „wrażliwość społeczną”. No i oczywiście doradców w rodzaju Ziemkiewicza też nie. Nawet z młotkiem w dłoni.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)